

## **Marta Kwaśnicka: Morfina. Potyczki z polską formą**

Twardoch sugeruje nam, że formy polskości zostały poddane inflacji



**Twardoch sugeruje nam, że formy polskości zostały poddane inflacji**

Szczepan Twardoch to enfant terrible polskich środowisk prawicowych i konserwatywnych. Wszyscy chcieliby go chwalić, ale czują się zakłopotani, bo jak można chwalić kogoś, kto waha się co do swojej tożsamości i raz po raz wygłasza na jej temat mniej lub bardziej mądre

opinie. Stąd problem z jego najnowszą powieścią, od razu zdradzę, że bardzo dobrą. Szokujące, że najlepszym omówieniem "Morfiny", jakie dotąd wpadło mi w ręce, była recenzja w „Gazecie Wyborczej”.

Jak każdą porządną powieść, „Morfinę” można czytać na kilku poziomach. Po pierwsze zatem to historia bon vivanta, któremu bardzo przeszkadza wojna, bo w czasie jej trwania nie może żyć tak jak wcześniej. Trudniej mu o kochanki i morfinę, do tego żona stawia mu nowe wymagania, ponieważ polska forma wymaga zaangażowania w podziemie. Konstanty Willeman tymczasem jest Ślązakiem, Niemcem półkrwi, a owa wspomniana już „polska forma”, do której wcześniej się przyznawał, bardzo go do siebie rozczarowała. **Twardoch sugeruje nam, że formy polskości zostały poddane inflacji – a przynajmniej tak to postrzega Willeman na początku książki – i że w dużej mierze stały się one pieniądzem bez pokrycia.** Na tym poziomie mamy to, co tak bulwersuje niektórych czytelników: odrzucanie polskości jako tego, co się nie sprawdziło, pochwałę używek i niewierności.

Kiedy zatem w Warszawie pojawiają się Niemcy, Willeman zaczyna się wahać. Ponieważ nie wie, kim jest, miota się pomiędzy formą polską i niemiecką, przypuszcza, że ta ostatnia może się okazać lepiej dla niego skrojona, jak na hitlerowski mundur przystało. Niepewność powoduje w życiu Konstantego, nazwijmy to oględnie, spory nieporządek. Sytuację pogarsza fakt, że jego matka, która panuje nad nim psychicznie, dotąd Polka z wyboru, postanowiła właśnie zostać Niemką, bo i jej zdaniem polskość się skończyła.

Pozostający pod panowaniem form Willeman jest także (nieprzypadkowo) więźniem morfiny i swoich popędów, zwłaszcza seksualnego; u kobiet szuka potwierdzenia własnej męskości, pojawia się tutaj zatem nuta psychoanalityczna. W tle przesunie nam się nawet postać podobna do doktora Junga, zakochanego czy opętanego swoją pacjentką, a i cała relacja Konstantego z matką ma w sobie coś rodem z myśli twórców psychoanalizy. Ciekawy zabieg.

**Morfinizujący się i wahający Kostek to jednak tylko punkt wyjścia, bo Willeman przejdzie przecież na stronach powieści wewnętrzną przemianę, a przyczyną tej przemiany będzie Dzidzia.** Długonosa panna Rochacewicz to polskość pewna siebie, bardzo ludzka, stojąca ponad formą, bo bynajmniej nie to, że z niej wyzwolona – ta kobieta jest przecież cała z Polski, tylko pozbawiona patosu, nie lubiąca wysokiego ‘c’. Dzidzia konspirowała z miłości do samego liberum consero, jest arystokratką, ale dla kraju może spać pod gołym niebem, naraża się, walczy, zginie, więc jest Polką, nawet kiedy zestawisz ją z wysokimi wymaganiami formy. Tylko – właśnie – jej wychodzi to naturalnie, może zatem spokojnie pozwolić sobie na drobne odstępstwa. A zatem, żeby pofechtować trochę terminologią filozoficzną, chyba zresztą nie do końca trafnie, ale doskonale rozumieją Państwo, o co mi chodzi, u Dzidzi forma i istnienie są tym samym. Taka “wolna polskość” jest zaś urzekająca: przedziwny twór metafizyczny, który odzywa się czasem w książce w pierwszej osobie (nazwijmy go germańskością, chociaż tak naprawdę nie wiadomo dokładnie, jak go/ją interpretować) boi się Dzidzi, zupełnie jej nie rozumie i ostatecznie przed nią skapitułuje.

Dzidzia, pewna siebie, czerpiąca radość z tego, kim jest, nie tłamsząca w sobie porażki, nie miętłająca cierpienia, jeśli trzeba, przyjmująca je i realizująca się w działaniu, urzeka Willemana. Trochę to wszystko nietzscheańskie, nadludzkie, przyznaję, mocno przerysowane i nie wiem, czy w ogóle osiągalne, ale – ostatecznie – bardzo optymistyczne. A zatem polskość jest atrakcyjna, tylko nie każda, nie jeśli jest złożona z samych form jak domek z kart; jednak **wcale nie jest tak, że Twardoch odrzuca Polskę i nie jest w niej stanie dostrzec żadnego piękna.**

Panna Rochacewicz zresztą nie sprawdza tożsamości Konstantego, dla niej to, czy jest Niemcem, czy Polakiem, jest kwestią po prostu drugorzędną. Odrzuci zatem z łatwością umizgi bon vivanta, żeby zakochać się w nim, kiedy ten w końcu odważy się być sobą i wyjdzie ponad poziom form. Ostatecznie do niczego między nimi nie dojdzie, ale przemiana Willemana jest faktem: wystarczy chociażby porównać to, jak widzi swoją kochankę Salome na początku książki (wcielenie demonicznej kobiecości) z tym, jak postrzega ją na końcu, kiedy jest już panem własnych popędów (sympatyczna, ale pospolita ruska dziwka). Zmieni się także jego stosunek do matki. I do morfiny.

**Oczywiście, sporo tutaj momentów, z którymi się nie zgadzam.** Najślabsze są te metafizyczne, kiedy wracamy w okolice “Wiecznego Grunwaldu”, bo to już było i nieco się zgrało. Główny bohater nadal jest ubezwłasnowolniająco piękny, tak jak to bywało we wcześniejszych książkach pisarza z Pilchowic i podobnie jak wcześniej możemy przypuszczać, że autor dopatruje się w Konstantym swoich własnych cech – ale tym razem ten narcyzm jest sympatyczny. Jestem także w stanie zaakceptować konwencję, nie będę się nawet specjalnie

krzywić na nadmiary golizny, ponieważ są tutaj środkiem, który czemuś służy. Nie sposób nie zauważyć, że zmaganie Konstantego z formą to intuicje jakoś tam pokrewne Gombrowiczowi, także bohater Twardocha jest przez nią tłamszony, i tutaj chce się nas z form (albo ponad formy) wyprowadzić. Kiedy Konstanty się z nich wyzwoli, zginie – i będzie to śmierć dość paradoksalna. Z jednej strony umrze jako polski bohater, bo wypełnił zadanie, a jego misja na pewno szybko wyjdzie na jaw (w kieszeni wciąż ma plany, które przemycił). Hela zostanie zatem wdową po herosie, dokładnie tak jak chciała. Ale Konstantego zabija ta sama polska forma, która robi z niego bohatera – bo podziemie nie wybacza zdrady, a Willeman, żeby wypełnić misję, musiał przyjąć niemiecką tożsamość. **Główny bohater “Morfiny” jest zatem trochę jak księżę Filip na końcu „Iwony księżniczki Burgunda”. Przeszedł całą tę przemianę, sporo się nawojował wewnątrz, a ostatecznie i tak musi klęknąć, jak wszyscy.** Istnieje jednak pewna różnica: Filip wraca do punktu wyjścia, Willeman – nie.

A to przecież tylko jedno z możliwych odczytań tej książki, można przecież pochylić się chociażby nad woluntarystycznymi wątkami, które sufluje nam nazwisko bohatera - i to chyba jest w niej najlepsze.

Muszę przypomnieć, że dotąd byłam zawiedziona książkami Szczepana Twardocha. Nie były dla mnie przekonujące, nawet “Wieczny Grunwald”. Naiwnym „Obłędem rotmistrza von Egern” machano mi przed nosem zeszłej wiosny jako koronnym dowodem, że autor z Pilchowic potrafi wzniośle pisać o kobietach, machano bez skutku; “Przemienienie” zostało zatopione przez ego autora, kolejne teksty często były niestrawne. **“Morfina” mnie przekonuje.** Sygnalizowana na wstępie inflacja polskich form nigdy nie była i nie będzie problemem wyssanym z palca, trzeba o nie nieustannie zabiegać, ciągle

je sprawdzać i aktualizować. Tutaj się po postu nie ma na co oburzać. Z Twardochem można polemizować, ale jednego odmówić mu się nie da: oto mamy pisarza i powieść z prawdziwego zdarzenia.

## POST SCRIPTUM

Zapomniałam wspomnieć o okładce. Ale to dlatego, że nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia.

*Marta Kwaśnicka*

Przeczytaj więcej wpisów na blogu Autorki

### **Przeczytaj także:**

Fragment powieści

Jakub Lubelski: Rozpacz i ukojenie. O „Morfinie” Twardocha

